

„... BO JESTEM POLAK”

O zsyłce Polaków do Związku Sowieckiego w lutym 1940 roku
z drem Stanisławem J. T. MAJDAŃSKIM
rozmawia Maria WRZESZCZ

Jedną z kart martyrologii Polaków podczas II wojny światowej było zesłanie przez władze sowieckie na daleką Północ Rosji, do Kazachstanu i na Syberię, setek tysięcy naszych rodaków ze wschodnich obszarów Polski, zajętych po 17 września 1939 roku przez Armię Czerwoną (na skutek tajnego traktatu Ribbentrop-Mołotow). Ich dramatyczne losy sprzęgły się symbolicznie z dziejami zesłańców polskich z XIX wieku.

W grudniu 1939 roku w Moskwie opracowany został plan, zatwierdzony przez Radę Najwyższą ZSRR, zakładający usunięcie „społecznie niebezpiecznego elementu” antysowieckiego. Na podstawie instrukcji Iwana Sierowa (tego samego, który w marcu 1945 roku „wslawił się” porwaniem 16 przywódców Polski Podziemnej) przeprowadzono w dniach 9-10 lutego 1940 roku pierwszą masową wywózkę ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego.

Maria Wrzeszcz: Spotykamy się często w Uniwersytecie. Dotąd nie udało mi się jednak porozmawiać z Panem o losach Pana i Pańskiej rodziny znanych mi trochę z lektury wspomnień Pana mamy¹.

Stanisław Majdański: Istotnie. Rzadko o tym mówię publicznie. Moją biografię, tak podobną do losów innych, jak choćby mojej żony Kazimiery, znają moi bliscy, i to mi wystarcza. Lata jednak upływają, wiele spraw ulega zapomnieniu. Ze znajomością historii jest u nas nie najlepiej, mam tu na myśli zwłaszcza młodzież, warto więc może przypomnieć nie tak dawne jeszcze losy Polaków.

M.W.: Jak było – z grubsza wiem, ale chciałoby się coś usłyszeć od świadka i uczestnika tamtych wydarzeń. Dlaczego znaleźliście się poza Warszawą, na Polesiu?

S.M.: Ojciec mój na początku wojny zawiózł nas, to znaczy moją mamę Reginę i nas troje: mojego młodszego brata Jana, kilkumiesięczną siostrzyczkę Elżbietę Dąbrówkę oraz mnie, do małego miasteczka Dywin koło Kobrynia, do

¹ Zob. *Polacy w Rosji mówią o sobie*, t. 3, Lublin 1995, s. 73-181.

teściów, gdzie rodzice poznali się, gdy ojciec był tam nauczycielem. Sądził, że u nich będziemy bezpieczni, a sam wrócił do zajmowanej już przez Niemców Warszawy. Okazało się, że było to rozstanie na długie lata...

M.W.: Pański ojciec Walenty Majdański (1899-1972) – pedagog, pisarz, publicysta, działacz katolicki – człowiek, który u żadnego z okupantów nie miał szans na przeżycie, cudem przetrwał wojnę. Jego brat, a Pański stryj, obecny arcybiskup Kazimierz Majdański, również cudem przeżył obozy koncentracyjne Sachsenhausen i Dachau... To świadczy o tragizmie losów Pana rodziny. W naszej rozmowie chciałabym jednak skupić uwagę na tym, co się stało później, tam w Dywinie. Dlaczego was deportowano?

S.M.: Polesie przyłączono do tak zwanej Zachodniej Białorusi. Utworzono tam system władzy sowieckiej. Jak się później okazało, przygotowano dokładne listy rodzin przeznaczonych do wywózki, kierując się kryterium szkodliwości dla ZSRR. Byliśmy oczywiście na pierwszej linii „wrogów ludu”: dziadek jako leśniczy i cała jego rodzina wraz z nami „bieżeńcami” z Polski centralnej.

M.W.: Jak doszło do samej wywózki? Jak Pan zapamiętał tamto wydarzenie?

S.M.: Było jeszcze ciemno, przed świtem, gdy zbudziło nas walenie do drzwi. Do domu wtargnęli żołnierze w szarych płaszczach i charakterystycznych czubatych czapkach „budionowkach” z dużymi czerwonymi gwiazdami, uzbrojeni w karabiny i nasadzone na nie bagnety. Towarzyszyli im przedstawiciele miejscowej władzy i NKWD. Odczytano nam dekret Rady Najwyższej, że podlegamy wywóźce... Dali zdaje się czterdzieści minut na spakowanie rzeczy. Zaskoczenie – tak, ale nie pamiętam lamentu, dorośli rozumieli o co chodzi. Tylko ta konsternacja – w co się ubrać i co zabrać ze sobą. Mama zachowała się bardzo dzielnie. Szybko ubrała mnie, Jaśka i Elżunię. Spakowała, co mogła, co wydawało się jej najbardziej potrzebne.

Wzięto wszystkich, którzy byli w domu: naszą czwórkę, dziadka Stanisława, babcię Józefę, prababcię Marcjanę, dorastającą ciocię Marysię i małego wujka Tadeusza. Uratowało się tylko dwóch wujków, którzy byli poza domem. Saniami, bo był duży śnieg i mróz około 35 stopni, zawieziono nas do szkoły, gdzie zbierano wszystkich okolicznych zesańców. Stamtąd dowieziono nas do stacji i załadowano do wagonów towarowych. Zdaje mi się, że na granicy przeładowano nas do właściwego „eszelonu”, złożonego z zielonych, deportacyjnych wagonów z piętrowymi narami, piecykiem-kozą na środku i dziurą w podłodze do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Znaleźliśmy miejsce na górze.

M.W.: Jak przebiegała ta podróż w nieznane?

S.M.: Na obszarach polskich, mimo że byliśmy zamknięci i pilnowani, mojej mamie udało się parę razy wyjść z pociągu i uzyskać ludzką pomoc, coś dla małych dzieci. Później, po stronie białoruskiej i rosyjskiej, nie było po co wychodzić. Na postojach wnoszono do wagonów kąpiatki (wrzątek) i wiadra z zupą. Było strasznie zimno. Ludzie wkładali na siebie wszystko, co mieli.

W okolicach Wołogdy umarła prababcia. Mama zapytała naiwnie, czy ją pochowają. Obiecali, a jakże, i wyrzucili ciało z wagonu. Nigdy nie zapomnieliśmy zostawionej gdzieś tam w śniegu ukochanej prababci, pierwszej ofiary tej zsyłki z naszej rodziny.

Po około trzech tygodniach wysadzono nas na stacji Chołmogorka w rejonie plesieckim w obwodzie archangielskim i skierowano do posesiołka Wodopad, położonego na terenie kamienistym, z pagórkami, błotami, rzekami, wśród tajgi.

M.W.: Co tam zastaliście? Jak mieszkaliście? Jak żyliście?

S.M.: Ulokowano nas w barakach z okrągłych bali. Naszej ośmioosobowej rodzinie przydzielono jedną małą izbę. Najbardziej dokuczały nam insekty: wszy, pluskwy i karaluchy. Pluskwy były wszędzie. W nocy spadały na nas, pchały się do ciepłych ciał. Walka z nimi była beznadziejna.

Mama została „lesorubem” – obcinała gałęzie, zwoziła zrąbane drzewo, które spławiano do Dźwiny, a Dźwiną płynęło aż do Archangielska. Pracowała na wyrębie nieraz bardzo daleko od posesiołka. Przychodziła czasem na kilka godzin i nocą znów wracała do tajgi. Nami opiekowali się dziadkowie. Pamiętam narty i sanki, które zrobił mi dziadek, ale po kilku miesiącach zmarł on w wieku pięćdziesięciu paru lat.

Babcia – mimo zakazu komendanta NKWD na posesiołku – chodziła do lasu, skąd przynosiła grzyby i jagody. Miejscowi „siewierianie” przechowywali je w beczkach. Zimą zamarzały, odrąbywało się je siekierą i jadło. Ze stołówki dostawaliśmy trochę zupy zabełtanej mąką i około 200 gramów chleba dziennie na dziecko.

Do wojny niemiecko-rosyjskiej można było coś kupić w miejscowym sklepie, jeśli się wypełniało wygórowane normy pracy i dostawało zapłatę. Dochodziły też paczki i listy wysyłane przez ojca różnymi drogami (na przykład przez Lwów). Ratowaliśmy się wymieniając na jedzenie resztki rzeczy przywiezionych z sobą oraz rzeczy pochodzące z tych paczek.

Na Wodopadzie nie dojrzewało zboże, ale miejscowi ludzie uprawiali kartofle na zagonach wokół domów i na karczowiskach ogrzewając je dymem z ognisk. Rosła tam biała rzodkiew, buraki pastewne i brukiew.

Marzeniem były walonki podbijane gumą z opon samochodowych. Dostawali je po jednej parze pracujący w lesie. Chodziło się też w łapciach, które wkładano na stopy okręcone onucami, polewano je w zimie z wierzchu wodą, która zamarzała zatrzymując ciepło. Dla nas mama cudem zdobyła dziecinne walonki.

M.W.: Jaka była wasza sytuacja po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej?

S.M.: Zapanował straszny głód. Przestały docierać paczki. Nie było też listów, które przedtem dochodziły ocenzurowane (farbą przez Niemców, nożyczkami przez Rosjan). Zaczęliśmy chorować. 19 grudnia 1941 roku zmarła na zapalenie opon mózgowych moja siostrzyczka Elżunia, najmłodszy zesłaniec. Przed śmiercią prosiła: „Chcę mięska, chcę mięska!”

W zamian za ślubną, poświęconą obrączkę (bo taką właśnie chciała Rosjanka) mama zdobyła kilka małych ryb, parę cebul i kawałek cukru. Nie uratowała jednak córeczki, która w dniu śmierci miała dwa lata i dziewięć miesięcy. Na wieczny spoczynek położyliśmy ją obok dziadka, na skłonie góry, co dobrze zapamiętałem.

M.W.: 30 lipca 1941 roku podpisany został układ Sikorski-Majski. Dlaczego nie wyjechaliście wraz z innymi Polakami?

S.M.: Teoretycznie i nas objęła „amnestia”, ale nie mogliśmy opuścić posesji Wodopad ze względu na jakieś braki w dokumentach. Z naszej rodziny jakimś sposobem udało się wyjechać tylko cioci Marysi. Oprócz nas i jeszcze jednej rodziny wszyscy udali się na południe do gen. Andersa. Do dziś nie wiem, dlaczego nie wydano nam zezwolenia na wyjazd. Jakim zagrożeniem byliśmy dla kogokolwiek? Raz listonosz pokazał nam list z ambasady w Moskwie, którego nie wolno było mu nam doręczyć i który musiał oddać NKWD.

Chora babcia nie opuszczała już nar, wujek był słaby i ledwie chodził, mamę i brata dotknęła kurza ślepotą, a mnie strasznie bolały nogi. Wciąż byliśmy bardzo głodni. Próbowaliśmy piec obierki ziemniaków, nie wiem skąd wzięte... Mamie z narażeniem życia udało się dotrzeć do Archangielska, do działającej tam Delegatury Ambasady Polskiej, skąd uzyskaliśmy duże wsparcie. Otrzymywali oni pomoc z Zachodu i mieli prawo wystawiania kartek na chleb. Do dziś z wdzięcznością wspominam konsula Stanisława Gruję, wicekonsula Witolda Kuczyńskiego, w szczególności zaś porucznika Antoniego Szwałkę i panią Zdzisławę Wójcik, dzięki której mama dostała pracę w szklarni pod Archangielskiem. W dniu pogrzebu mojej mamy (22 X 1998 roku na Marysinie Wawerskim w Warszawie) dowiedziałem się, że pani Wójcik żyje. Odwiedziłem ją później.

M.W.: W jaki sposób opuściliście Wodopad?

S.M.: Mama pracowała pod Archangielskiem, a my zostaliśmy z babcią na posesji. Dzielilo nas kilka godzin jazdy pociągiem, a potem trzynaście kilometrów na piechotę od stacji. Babcię bolały nogi. Przestała wstawać z łóżka, strasznie wychudła. Na trzy dni przed jej śmiercią przyjechała mama. Babcia bardzo chciała żyć i pomagać nam, choć z trudem znosiła to, że przeżyła wnuczkę. Do dziś słyszę wołanie babci: „Ratujcie mnie!” Umarła 15 czerwca 1942 roku. Jej bosc stopy posypaliśmy maleńkimi, liliowymi kwiatuskami. Pochowaliśmy ją obok ukochanej wnuczki. Mogiła babci była ostatnią na cmentarzu Polaków deportowanych w lutym 1940 roku na posesję Wodopad.

Mama zdecydowała, że następnego dnia przeniesiemy się do Archangielska, chociaż był on już bombardowany przez Niemców. Mimo braku zezwolenia na zabranie wujka Tadeusza (nie zaliczano go do rodziny, był „tylko” bratem mamy i miał obowiązek pracy, chociaż był nieletni) i dzięki pomocy żydowskiego enkawudzisty (który aresztował Tadeusza, lecz wskutek błagań mamy wypuścił go) jej plan się powiódł.

M.W.: Jak długo mieszkaliście w Archangielsku?

S.M.: Spędziliśmy tam dwa lata. Choć miasto bombardowali Niemcy, było nam lepiej. Mama pracowała w szklarni, gdzie też mieszkaliśmy. Nawiązała kontakty z rosyjską inteligencją. Dorabiała robótkami na drutach. Chodziliśmy do szkoły. Nie pozwoliłem się zapisać do pionierów. Na pytanie – dlaczego? odpowiedziałem: „bo jestem Polak”. Dostawaliśmy pomoc ze strony wspomnianej Delegatury (dopóki istniała) oraz od polskich żołnierzy z Bakaricy pod Archangielskiem (wspomniany już por. Szwałko), a także od polskich marynarzy ze statku „Tobruk” (z oficerów pamiętam Malinowskiego i Śmiechowskiego – jego żona też była zesłana i mama próbowała jej pomóc).

Sytuacja pogorszyła się po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, zaraz potem zlikwidowano Delegaturę. W mieście było pełno cudzoziemców i uciekinierów z oblężonego Leningradu. NKWD wiedziało o wszystkim. Był tam szpieg na szpiegu.

M.W.: Dokąd rzucił was los po zerwaniu stosunków między Związkiem Sowieckim a rządem londyńskim?

S.M.: Tak jak inni Polacy podlegaliśmy wtedy „Związkowi Patriotów Polskich”. W roku 1944 przeniesiono nas na południe, w okolice Saratowa, do rejonu Krasnyj Kut, do sowchozu Polianskaja Dolina. Wujek poszedł do dywizji Kościuszki.

Po zakończeniu wojny mama zaangażowała się w akcję repatriacyjną. Wielu ludziom pomogła, ale my jako rodzina pisarza przez cały czas byliśmy pod specjalnym nadzorem. Ojciec nadal usilnie zabiegał o nasz powrót. Nawet w czasie wojny w naszej sprawie czynione były starania, także drogami dyplomatycznymi. Gdy byliśmy już gotowi do wyjazdu, mamę aresztowano w Saratowie i wywieziono do Moskwy na Łubiankę.

M.W.: Panu i bratu udało się wrócić do kraju.

S.M.: W więzieniu mamę terroryzowano psychicznie. Usiłowano wymusić na niej zgodę na oddanie nas do sierocińca, gdzie miano nas otoczyć najlepszą sowiecką opieką. Nie ugięła się. Wskutek jej nieustępliwego żądania zezwolono nam na powrót do Polski, do ojca, od którego otrzymaliśmy dwa telegramy z Częstochowy. Współpracował wtedy z paulinami.

Był już rok 1946. W eszelonie NKWD zażądało od nas torebki mamy i zabrało z niej różne dokumenty. Po raz pierwszy zostałem zarejestrowany jako głowa rodziny. Miałem już przecież jedenaście lat i ukończone trzy lata rosyjskiej szkoły (plus szkołkę polską w ostatnim roku). Podczas podróży opiekowały się nami siostry Maria i Anna Figurzanki (mieszkały w tym samym domu). Wysadzono nas w Poznaniu, gdzie po miesiącu odnalazł nas ojciec.

M.W.: A co działo się z mamą?

S.M.: Skazano ją „tylko” na pięć lat zesłania. W drodze do Krasnojarskiego Kraju zachorowała. W Nowosybirsku przeniesiono ją z pociągu do szpitala, gdzie podczas półrocznej, ciężkiej choroby ratowali ją dwaj lekarze: zesłaniec niemiecki i Rosjanin, który robił doktorat z rzadkich chorób. Stwierdził u mamy

flegmonę. Podawano jej antybiotyki, glukozę i jakieś racje żywnościowe dla umierających... Przeżyła, choć straciła już prawie nadzieję.

M.W.: W jaki sposób staraliście się ją stamtąd wyciągnąć?

S.M.: Ojciec wszelkimi możliwymi sposobami usiłował ustalić, gdzie mama się znajduje. Mimo skrupułów zdecydował się pójść do Wandy Wasilewskiej, ale do tego spotkania nie doszło. Wybraliśmy się do Prabut, do ojca Klimuszki, franciszkanina (ojciec w tym czasie wydawał swoje książki w Niepokalanowie, z którym współpracował jeszcze za czasów ojca Maksymiliana Marii Kolbego). Powiedział nam, że mama żyje, pracuje z dziećmi i chodzi o kulach.

Gdy ojciec zdobył adres mamy, który później okazał się fałszywy, natychmiast udał się do swego przyjaciela sprzed wojny, poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Gałczyński jechał do Moskwy i obiecał, że weźmie paczkę dla mamy, żeby ją stamtąd wysłać. Przywiózł ją jednak z powrotem. Nie odważył się jej tam nadać. Bał się, czuł, że go śledzono. Sumitował się bardzo.

Pamiętam też (gdzieś w latach pięćdziesiątych) tajemniczą wizytę dwóch osób z ambasady sowieckiej oferujących pomoc w sprawie mamy, ale interesowała je przede wszystkim problematyka demograficzna, którą zajmował się ojciec, a także jego kontakty kościelne...

Po jakimś czasie doszło do wymiany listów między rodzicami. Każdego roku mama składała podanie z prośbą o powrót. Raz jeden nawet wyruszyła z Syberii i dotarła nielegalnie do Ambasady Polskiej w Moskwie, skąd ze strachu niemal ją wyrzucono. Polacy jej nie pomogli. W maju 1955 roku przyjechała do Warszawy (własnym wysiłkiem, wyprzedzając akcję repatriacyjną W. Gomułki) z paszportem sowieckim i z obowiązkiem meldowania się w Ambasadzie ZSRR. Trzeba było się starać o przywrócenie jej obywatelstwa polskiego.

M.W.: W roku 1995, po ponad pięćdziesięciu latach, odnalazł Pan groby swoich bliskich, co jest czymś bardzo niezwykłym. Proszę opowiedzieć o tym.

S.M.: Stało się to dzięki zmianom politycznym. Rzecz dziwna, na KUL przyjechał właśnie z Archangielska rektor Akademii Medycznej (obecnie Północnego Uniwersytetu Medycznego) i towarzyszący mu profesor z propozycją nawiązania wszechstronnej współpracy w zakresie ekologii. Przedstawił obraz straszliwych zniszczeń ekologicznych w Rosji. Podczas rozmów stwierdził, że ich źródłem jest „skażenie ideologiczne”, a ratunkiem dla Rosji jest religia...

W wyniku zawartej umowy pojechałem do Archangielska jako przedstawiciel rektora. W oficjalnym wystąpieniu nie wypadało mi mówić o sobie. Chciałem powiedzieć tylko jedno zdanie, że jestem tu nie po raz pierwszy. Zanim jednak zabrałem głos, przemówił tamtejszy rektor, psychiatra, profesor P. Sidorow. Przedstawił mnie w wielonarodowym towarzystwie i wśród liczego grona rosyjskich dygnitarzy jako wyjątkowego gościa. Oświadczył, że jako Rosjaninowi jest mu bardzo przykro z powodu tego, co jego rodacy zgotowali mnie i całej mojej rodzinie.

Chociaż pojechałem tam z cichym zamiarem odszukania grobów i umieszczenia na nich zabranej z sobą tabliczki, jednak nie udało mi się to. Był bowiem listopad i niemożliwe było dotarcie do nich. Obiecano mi pomoc następnym razem. Spotkałem się jednak z mieszkającymi w Archangielsku Polakami, między innymi z Walentym Kornickim, pierwszym prezesem nowo założonego Związku Polaków, oraz z jego wiceprezesem – Konstancją Strusiewicz, której stryja księdza zamordowało NKWD. Stara się ona o powrót do Polski. Chcą ją przyjąć znajomi współzesańcy, ale władze polskie są jak dotąd opieszale.

M.W.: A jednak wreszcie dotarł Pan do rodzinnych mogił.

S.M.: Cel swój zrealizowałem dopiero w następnym roku, dzięki przychylności rektora Sidorowa i innych poznanych wcześniej ludzi oraz stypendystki Leny, odbywającej na KUL-u studia doktoranckie, i jej mamy, pani Walentyny.

Wraz z dwoma geologami i z panią Walentyną w końcu czerwca 1996 roku dotarliśmy do uroczyska Wodopad. Ku zdziwieniu moich towarzyszy trafiłem od razu. Nie zastaliśmy tam prawie niczego z czasów mojej wojennej katorgi. Wszystko zarosło trawą i lasem. Jedyne ślad stanowiły dębowe schody, pozostałość – jak sobie przypominam – po domu komendanta.

Rozbiliśmy namiot, rozpaliliśmy ognisko. W nocy było bardzo zimno, w dzień strasznie gorąco i dokuczały nam gzy. Baliśmy się usnąć, gdyż zauważyliśmy ślady niedźwiedzia. Mimo późnej pory było widno (białe noce).

Ze starszym geologiem Piotrem wyruszyliśmy na rozpoznanie terenu i udało się nam w końcu odszukać cmentarz położony na stoku góry, tak jak to pamiętałem, a na nim kopczyki mogił i z rzadka resztki powalonych krzyży. Wszystko porosłe wysokimi drzewami. Nazajutrz kontynuowaliśmy poszukiwania. Nie mogłem jednak odnaleźć grobów dziadków i siostry. Bliski rezygnacji usłyszałem nagle głos młodego geologa: „to chyba tu!” I rzeczywiście... duży, malutki i duży kopczyk na skraju dawnego cmentarza. A jednak odnalazłem ich...

Na zbitym z dwóch ściętych drzew krzyżu (na wyprawę zabraliśmy siekiery i piły) umocowałem przywiezioną z Lublina tabliczkę z imionami i nazwiskami dziadków i Elżuni, a także prababci oraz pozostałych Polaków. Wkopaliśmy go przy naszych grobach. Zabrałem garść kamienistej ziemi, pożegnałem ich wszystkich modlitwą. W oczach zachowałem pamięć tego miejsca, z którym mimo odległości i upływu czasu pozostanę związany na zawsze.

M.W.: Co pozwoliło mamie przetrwać tamte piętnaście lat na „nie ludzkiej ziemi”?

S.M.: Ogromna wiara, zaufanie Bożemu Miłosierdziu i miłość do nas, dzieci. Często powtarzała, że jesteśmy jej siłą i obroną. W wielu momentach mogła powołać się na to, że ma dzieci. Podkreślić chcę, że posiadała ogromny dar wychowawczy. Nie nakazując niczego, nie powtarzając setki razy wpoila nam poczucie polskości i religijność jako coś bardzo naturalnego. Rzecz ciekawa, nigdy nie wątpiliśmy, że wrócimy do Ojczyzny, do ojca i że mama w końcu również do nas przyjedzie, choć to było, po ludzku sądząc, beznadziejne.

Przeżyliśmy dzięki dobrym ludziom, których Pan Bóg postawił na naszej drodze. Wielu, wielu tych ludzi... A wiele razy można było po prostu zginąć. To, że przetrwaliśmy, zawdzięczamy generałowi Władysławowi Sikorskiemu (dzięki zawartemu przez niego układowi mogliśmy wyjść z tajgi), pracownikom Delegatury Ambasady Polskiej, innym zesłańcom Polakom, ale także tym licznym Rosjanom, którym pamiętamy każdy okrucieństwo ich serca. Wszyscy oni byli dla nas „jasnymi promieniami” na „niehumanitarnej ziemi”, w niehumanitarnym systemie, w zezwierzęconym, okrutnym świecie.

M.W.: Serdecznie Panu dziękuję za przypomnienie tego przejmującego rozdziału naszych dziejów ojczystych.

*

M.W.: Ułynęło trochę czasu od Pańskiego wywiadu. Czy dodałby Pan coś jeszcze?

S.M.: Rzeczywiście, był on nader syntetyczny, stąd pewne poczucie niedosytu. Tyle trudnych lat i tyle ludzi, których nawet nie wspomniałem, a którym zawdzięczam tak wiele – życie. Trzeba by to kiedyś naprawić. Poza wywiadem wygłosiłem na te tematy dwa odczyty.

M.W.: Był Pan w Moskwie rok temu...

S.M.: Tak, byłem. Jak podkreślił wspomniany rektor Sidorow, jestem – ja i mnie podobni – niejako naturalnym łącznikiem w sprawach polsko-rosyjskich. Jest w tym paradoks: mimo tylu krzywd, a może właśnie dlatego... A do Moskwy zostałem delegowany przez ks. profesora Tadeusza Stycznia – dyrektora Instytutu Jana Pawła II KUL, następcę ks. profesora Karola Wojtyły w kierowaniu Katedrą i Zakładem Etyki KUL – na międzynarodowy kongres rodziny. Wyjechałem w ostatniej chwili. Zostawiłem organizatorom kongresu niewielki tekst o polskich i rosyjskich tradycjach zainteresowań problematyką rodzinną; sprawy przedstawiają się dziś tragicznie, w Rosji, w Polsce, w Europie i na świecie. Promotorem-pionierem tej problematyki był zresztą u nas Walenty Majdański, mój Ojciec (zaczęło się od tekstu *Państwo rodziny*, Kalisz 1935). Kontynuuje ją mój stryj, abp Kazimierz Majdański, założyciel Instytutu Studiów nad Rodziną (Warszawa-Łomianki). Sprawy te znajdują się również w centrum zainteresowań Instytutu Jana Pawła II. Dziś problematyka ta niktogo nie dziwi, zajmuje się nią wielu, specjalne organizacje, instytucje, ruchy. Ukoronowaniem tej tradycji i troski o rodzinę jest nauczanie Ojca Świętego Jana Pawła II. Pamiętne są jego słowa: „Przyszłość świata idzie przez rodzinę” i słowa przestrogi wygłoszone w Kaliszu w 1997 roku: „Naród, który zabija własne dzieci, staje się narodem bez przyszłości”.

Będąc w Moskwie zwróciłem się, w imieniu dyrektora Instytutu Jana Pawła II KUL, z zaproszeniem do Aleksandra Solżenicyna, z zaproszeniem symbo-

licznym, z okazji Milenium... Pomogła mi w tym Redaktor Irina Iłowajska-Alberti (która uczestniczyła także w kongresie), jakże Polsce życzliwa, nieodżałowana – niedawno zmarła. Oczywiście, odnowiłem stare kontakty i nawiązałem nowe.

Nie potrafię tu nie wypowiedzieć chrześcijańskiej refleksji w stylu W. Słowjowa: kochajmy Polskę, swoją Ojczyznę, by móc tak jak siebie kochać innych! Moja Matka, Regina, więzień Łubianki, pamiętała i wspominała z wdzięcznością to, co spotkało ją dobrego „na nieludzkiej ziemi”, aż zdumiewało to niektórych. Nie znaczy to, by krzywdy zapomnieć, choćby ku przestrodze. Wybaczyć trzeba, gdy wina jest wyznana (można to ułatwić), ale nie powinno być przedwczesnego, „wyprzedzającego” wybaczenia – wcale nie budzi ono szacunku, narusza proporcje i zaciera winy, zwłaszcza gdy nie ma się po temu odpowiedniego tytułu... Trzeba tu wiele roztropności i uwzględnienia różnic kulturowo-cywilizacyjnych, mimo słowiańskiej wspólnoty. Nie zapominajmy, że wiele złego przyszło z Zachodu, jak komunizm, który nałożył się na to, co rosyjskie, rodzime... Właśnie dlatego zwróciliśmy się w stronę Aleksandra Isajewicza, by coś wspólnie uczynić dla naszych narodów, aby granica między nami nie dzieliła, ale łączyła.